Fejleton spirytystyczny.

Nr. 11.

Obrazki z życia,

ducha Kajetana.

(Ciąg dalszy).

— Panna Barbara zawsze się lękała i nie chciała nic mówić, ale w końcu znużona mojem naleganiem, wyznała mi, że wujcio ją dręczy; że się w niej rozkochał; że jej obiecuje znaczny posag, swoją protekcję, byle tylko chciała być dla niego łaskawszą, nie odtrącała go od siebie, cioci się niebała, bo on będzie starać się ochronić ją od jej gniewu. Tym sposobem opowiadała mi panna Barbara niecne zalecanki swego wuja. Przerażona o duszyczkę tej biednej istoty, zaczęłam jej z całą sumiennością przedstawiać ogrom grożącego niebezpieczeństwa, na jakie jest wystawioną; chwałę, jaką nieochybnie zdobędzie, gdy wyjdzie z tryumfem z próby, którą Bóg spuścił na nią, nasyłając jej na pokuszenie szatana nieczystości, szatana pożądliwości; a przytem starałam się ją nakłonić do życia klasztornego. Przedstawiałam jej całą rozkoszną cichość życia samotnego za temi świętemi murami, gdzie każda z oblubienic Chrystusowych pozostaje ukryta, uwita, że tak powiem, w białą zasłonę niewinności, której nie zmaże żaden człowiek, zamiarami złemi i nieczystym wzrokiem.

— Jestże coś milszego jak ta wieczna cisza — dodała Elżbieta, unosząc się coraz bardziej z oczyma w górę wzniesionemi i ta samotność we dwoje ze spowiednikiem, którego serce nasze i dusza wybrała; z tym pośrednikiem oblubieńca naszego, przez którego jedynie możemy się komunikować z naszym małżonkiem? Ale gdzie tam — ciągnęła dalej, spadając stopniowo na zwyczajny akcent mowy. W dziewczynie tej szatan próżności już się zagnieździł; próżność ją owładła; ona pragnie rzucić się w odmęt nieczystych uciech światowych; pragnie nie cichego, niewidomego, tajemniczego oblubieńca, tak, jak to każda dziewica skromna i pobożna pragnąć powinna, ale pragnie powiadam uścisków otwartych; mężczyznę, kochanka ona by koniecznie mieć chciała.

— Widzisz Elżbieto! — przerwała pani Jędrzejowa.— Myślałam nad tem już noc całą i oczywiście widzę w tym wypadku rękę Boga, która mnie dotyka. Snać za mało czynię ofiary z własnych moich namiętności; za mało czynię dla biednych; widzę to dobrze, ale ja uczyniłam

ślub, że jeżeli mnie się uda przerwać ten nieszczęśliwy romans, a Basię jak najprędzej z domu wyprawić, to natychmiast robię ofiarę, i na chwałę Boską poszlę dywan dla tego poczciwego księdza Adalberta. Masz słuszność Elżbieto. Czemże są te wszystkie rozkosze świata zgiełkliwe, nie zaspakające cichego pragnienia, stęsknionej ku swemu Stwórcy duszy, w porównaniu z tą samotną spowiedzią u nóg tego Boskiego pośrednika, któremu powierzamy nasze wszystkie troski, boleści, nadzieje, a on daje radę i pociechę? Jakże nie być mu wdzięczną; jakże nie mamy kochać tego przedstawiciela Chrystusa, który nam Jego słowa powtarza, naucza i pociesza?

Otóż po tej spowiedzi którą odbyłam wczoraj, czułam się nieco spokojniejszą, mniej cierpiącą i mam ufność, że gdy będę pościć dwa razy w tydzień, dam dwa bukiety przed ołtarz naszej najświętszej patronki, to ona widząc ofiary moje, ulituje się nad strapieniem mojem i pocieszy mnie.

— Pani moja łaskawa! uspokój się; widzę już twoje ofiary mile od tej świętej patronki przyjęte; za jej to natchnieniem dam ci radę. O pani! Wydaj Basię zamąż. To jest najlepszy sposób pozbycia się jej z domu, w sposób bardzo chwalebny a przytem i pokuta dla niej, kiedy nie chciała przyjąć najlepszej rady:— zachowania na cześć i chwałę Boga swego dziewictwa.

— Niech idzie zamąż; tak, — rzekła wstając i zabierając się do wyjścia pani Jędrzejowa; — tak, masz zupełną rację; śpieszę do domu i pomyślę gdzie by jej odszukać męża.

— Niech cię Bóg prowadzi po twojej drodze i wspiera w twoich zamiarach, matko biednych i sierot — odparła na to z niskim ukłonem Elżbieta.

Za chwilę pani Jędrzejowa w zamkniętym powozie dążyła do domu.

Pan Marcin.

Zatrzymawszy się nieco za długo w poznaniu się z jednym członkiem licznej rodziny Adminosów, z której pochodziły obie siostry z któremiśmy się już zaznajomili, musimy się dalej zapuścić i zapoznać Szanownych Czytelników z resztą członków tej nader licznie rozrodzonej w mieście rodziny. Po córkach, damy pierwszeństwo panu Marcinowi Adminos jako znaczniejszemu w rodzinie majątkiem i stanowiskiem.

Ojciec całej rodziny, poczciwy szlachcic na zagrodzie, puścił więcej na los szczęścia każde z dorosłych już dzieci, a miał ich dość: słusznych i małych po trzech żonach zmarłych i po czwartej jeszcze żyjącej.

Pan Marcin po zamęźciu siostry najstarszej Kingi, poszedł uczyć się rzemiosła w warsztacie swego szwagra. Potem gdy już się wyzwolił, powędrował trochę w świat aby się po nim rozpatrzyć, a gdy wrócił do kraju, poczciwy jego szwagier, zmęczony życiem, pracą usilną, mozolną, zakończał poczciwe i nieskalane życie w powolnem cierpieniu. Umierał jednak spokojnie, zostawiając ulubioną żonę z sześciorgiem dzieci, wszystkie już prawie podrosłe z pięknym groszem, w dostatku, z dobrem imieniem i dobrym handlem. Zdawało mu się, że im zapewnił szczęście, gdy im zostawił grosz; ale tak się prawie nigdy nie dzieje na świecie. Szczęście zbudowane na tak kruchym fundamencie, jest bardzo słabe i chwiejne; jeden fałszywy krok, a noga się pośliźnie; — jeden kamyczek raz usunięty z tych fundamentów, a cała budowa za nic. Ale zostawmy na ten raz dzieci i żonę zmarłego, a wróćmy się wprzód do pana Marcina i jego rodziny.

Po śmierci męża, pani Kinga widząc się samą, szukała opiekuna, pomocnika do prowadzenia pozostałego po mężu handlu. Zapomniała o synie dorosłym, będącym wonczas za granicą, a przywiązana do myśli o podniesieniu nic nieznaczącej rodziny Adminosów, pomyślała, że przypuszczając do interesu i spółki brata swego Marcina, przyczyni się najpierw do jego przyszłości, a tem samem rzuci lepsze światło na całą rodzinę, zapewniając dobrobyt jego, powtóre, że biedny w podartych butach braciszek, będzie wdzięczny za chleb dany mu tym sposobem przez siostrę, szczerze tedy i uczciwie doglądać będzie jej majątku. Był to albowiem człowiek mówiący grzecznie, z bardzo wielką pokorą; Boga imienia używał w każdej sprawie; jednem słowem, pozorne jego zachowanie kazało się spodziewać po nim człowieka uczciwego i łagodnego. Przypuściła go zatem siostra do spółki w handlu.

Pan Marcin z początku słodki, pokorny, z odrastającem pierzem zaczął nabierać fantazji. Najprzód rozpoczął zapewnienie swojej egzystencji od upatrzenia sobie żonki; znalazł ją niebawem w osobie panny Emilii, siostrzenicy kupca w mieście poważanego, który ją jako biedną sierotę trzymał w domu swoim wraz z jej matką, biedną wdową po zmarłym urzędniku. Panna Emilia była, jak prawie wszystkie panny przed ślubem bywają, słodka, cicha, potulna; była też sobie cokolwiek i głupia; miała białą buzię, jasne włosy, jasne sine oczy, które przez grzeczność nazywano błękitnemi i dwadzieścia parę latek. Pan Marcin chętnie został po raz pierwszy przyjęty w domu jej wujaszka. Widziano w nim starającego się kawalera, chociaż on w pierwszej chwili wcale o pannie nie myślał przestępując progi tego domu. Ale oboje wujostwo, ludzie praktyczni, widzieli w tem małżeństwie przyszłość dla Emilci, napróżno wyczekującej od lat kilku męża i postanowili wszystkich środków

użyć, ażeby tę parę połączyć, co też się im niebawem bardzo fortunnie powiodło.

Dnia pewnego gdy kawaler przyszedł, wysłano pannę po miód do odległej nieco od mieszkania prywatnego spiżarni. Milcia idąc ze dzbankiem, z ukosa spójrzała na pana Marcina i zwolna wyszła pobrzękując kluczykami. Pan Marcin bezmyślnie siedząc, czekał na miód; ale po wyjściu panny, gdy się obejrzał, wujka w pokoju nie było, wybiegł do sklepu, a ciocię kucharka odwołała w ważnej sprawie gospodarskiej. Pan Marcin pomyślał sobie, że nudno siedzieć samemu; że dzbanek, który panna ma przynieść duży, że gotowa całego ze spiżarni nie unieść, lub niosąc wylać, a byłoby to szkodą. Wstał więc szybko i pobiegł za panną do spiżarki. Panna Emilia pochylona toczyła miód z beczki; pan Marcin jako kawaler przybył z pomocą. Przy tak poufnej pracy nie obeszło się bez maleńkich półsłówek, któremi umieją sobie choćby najgłupsze panny łapać kawalerów na wędkę. Zamiast pośpiechu, kosztując miodek, wcale się nie śpieszyli, gdy w tem z nienacka na progu spiżarni ukazała się opasła postać wujaszka.

— Ah! donnerweter — wrzasnął nad samem uchem kawalerowi. — Cóż to sobie jegomość myślisz? Wchodzić w mój dom poczciwy, aby mi bałamucić siostrzenicę moją?

— Takiżto ty masz przykład Emilciu ze mnie, z twojej cioci? — piszczała z drugiej strony szanowna połowica wujaszka.

— Ja ciociu, — jąkała Emilcia — ja niewinna przecież...

— Czy myślisz, — srożył się ze swej strony wujaszek — że to ci tak płazem ujdzie? Z panną siedzieć w spiżarni, na ohydę całego domu mego. O nie kochanku; albo ztąd wyjdziesz narzeczonym Emilci i zapijemy tym miodkiem wasze zrękowiny, albo ci ten dzban na łbie twoim rozbiję.

Pan Marcin zgłupiał; w uszach szumiały straszne słowa wujka. Jego obietnica wcale mu się ponętną nie wydawała; w głowie szumiał miód, przed nim stała panna rumiana, młoda, wcale ponętna i wabiła go do wyznania swojem siwem okiem; ratunku przed sobą innego nie widział; znał gwałtowność wuja, a do tego wuja chcącego się pozbyć swojej siostrzenicy z domu. Pomyślał sobie: ha! cóż robić, widać to już moje przeznaczenie i ukląkł przed wujaszkiem z szybkością, której mogły być dwa powody: miłość do panny i dzbanek miodu nad jego głową. W mgnieniu oka, wujaszka oblicze zajaśniało promieniem radości.

— A! niechże cię uściskam; prosisz o rękę naszej Emilci. Wprawdzie to nie nasza córka, no, ale my ją tak jak swoją kochamy; to dobre, jedyne dziecko; będziesz z nią bardzo szczęśliwy.

To mówiąc, ściskał i całował przyszłego siostrzeńca, że ten nieumiał i niebył wstanie na wezbrany ten potok uczuć coś odpowiedzieć:

— No, no, zapijmy tę sprawę. Zdrowie wasze — rzekł wznosząc dzbanek i przychylając do ust podał go Marcinowi. Pan Marcin chwycił dzbanek z podwójną radością; kontent był, że ma upragniony miód i że to straszne narzędzie, grożące jego głowie, już jest w jego rękach; przytknął je do ust, a po chwili bardzo mu było wesoło, gdy siedział w bawialnym pokoju na kanapie obok swojej przyszłej i jej matki; kontent już był nawet, że się tak stało:—będzie nakoniec żonaty. Panna uśmiechała się, a mama tymczasem popłakując, wyliczała wszystkie cnoty panny młodej. Ułożono ślub i niebawem pan Marcin zaprowadził młodą żonkę do siebie.

Każdy dzień pożycia przekonywał go jedynie coraz bardziej, że gwiazda szczęśliwa zaprowadziła go do tej spiżarki z miodem. Na pozór głupia żonka, nadzwyczajnie była pojętną i zgadzającą się z wolą męża; wkrótce też, chociaż pobrali się oboje biedni, przybywać im zaczął dostatek w dom, który całemi siłami zmnażali od urodzenia się dwóch miłych córeczek. Pierworodną nazwali imieniem Michaliny, młodszą imieniem mameczki.

Zwolna interes siostry w którym pracował pan Marcin, zaczął jakoś gorzej iść i dziwnym zbiegiem okoliczności, każdym razem gdy pani Kinga poniosła jakąś stratę, pani Emilia jednocześnie na swoje imię wkładała sumki w książeczki kasy oszczędności. W domu coraz większy dobytek przybywał; pani po kilku latach pożycia uznała, że w dwóch pokoikach mieszkać niepodobna; najęto mieszkanie obszerne, przyjęto pannę pokojową, gdyż podrastające panny Marcinówny, uczące się w pierwszym pensjonie w mieście, potrzebowały być zawsze pięknie ubrane. Sama pani Marcinowa jak lalka wysznurowana, siadywać zaczęła w sklepie wraz z mężem dla jego pomocy; a gdy się ukazała naraz jakaś gwałtowna potrzeba zaciągnienia długu pani Kindze, pan brat usłużny szukał, ale z trudnością wielką wynalazł żyda, który pożyczył, lecz na bardzo wysoki procent. Pan Marcin z żoneczką żyli sobie tymczasem w największej i najprzykładniejszej zgodzie, wspólnie pomagając sobie w robieniu majątku kosztem siostry, i chcąc sobie jak najrychlej zapewnić przyjemną i niepodległą przyszłość. Egoiści oboje, nieuczynni, chciwi, skąpi, oboje żyli tylko z sobą dla robienia pieniędzy, które były celem jedynym ich życia i dla jedzenia smacznego, obfitego, jedynej przyjemności jaką sobie za te pieniądze sami dla siebie sprawiali. Pan Marcin miał jeszcze jedną słabą stronę: chciał gwałtem uchodzić za uczciwego człowieka. Nabożeństwo pana Marcina zasadzało się na regularnem odmawianiu pacierzy i na odczytywaniu tak w samotnych chwilach jak i w towarzystwie pisemek Towiańskiego Andrzeja, do którego sekty w swoich piechotnych podróżach przystał. Do zasad mistrza tego bardzo szczerze przylgnął, albowiem nauka Towiańskiego uwita w jakieś mistyczne cienia,

okryta mgłą wielko-wiedzy czy nieświadomości, dozwalała mu dowolnie te zasady naciągać, rozciągać i ściągać do własnych przekonań i zasad; jednem słowem, pan Marcin ubóstwiał Andrzeja Towiańskiego i swoich braci w Towiańskim, a do uwielbienia tego nie mało przyczyniła się jedna z sióstr jego w Towiańskim, która uniesiona miłością bliźniego ku młodszemu bratu, gdy potrzebował, pożyczyła mu kilka tysięcy guldenów, bezwzględnie na interesa domowe i męża, z którym nie mieszkała, odkąd przejęła się zasadami Towianizmu, bo trudno być dobrą siostrą dla tylu braci a oraz i czułą żoną.

Odkąd pan Marcin powiększył i rozszerzył swoje mieszkanie, a chociaż w domu swoim miał już wszelki dostatek, nigdy, z wyjątkiem rodziny żony swojej, nie przyjmował nikogo u siebie, a i rodzinę tę przyjmował tylko akuratnie i regularnie na Święta Bożego narodzenia i Wielkanocne, oraz na imieniny swoje, żony i jednej córeczki, druga albowiem nosząc imię matki święciła razem z nią swoje imieniny. W tak uroczystych dniach dla rodziny, na stole występowała kiełbasa, szynka, kurczęta, piwo i wino; sama pani w materjalnej czarnej sukni przy tureckim fartuszku; pan w czarnym, ciasnym stroju; panienki z rozpuszczonemi włoskami kręciły się wśród swoich ciotek i wujaszków, którzy jedząc i popijając, podziwiali talenta panienek domowych. Jeżeli to były imieniny papy dobrodzieja, zwyczajnie wśród takiej radośnej uczty rodzinnej, mama wynosiła pantofle, haftowane przez jaką hafciarkę za domem i prezentowała jako pracę swoich miłych córeczek. Później dla przedstawienia i popisania się ich talentami i okazania światu, że nietylko igłą umieją władać tak umiejętnie, pokazywała dla odmiany raz bukiet robionych kwiatów w koszyku, to znów obraz jakiego Świętego ołówkiem rysowany (obraz rysowany przez nauczyciela rysunków) a dla dokończenia zabawy, pod przewodnictwem swej ciotki, starej panny nauczycielki muzyki, panienki kolejno odegrały jakieś tam niezrozumiałe fantazje, jednogłośnie uznane przez towarzystwo za bardzo doskonałe, dla tego już, że szanowna ciocia, która w braku innego jakiego przywiązania, które skutkiem zimnej oschłej duszy i serca egoistycznego nie była zdolną uczuć do nikogo, starzejąc się coraz bardziej, nudziła się, a z nudów postanowiła koniecznie czemś się odznaczyć, rzuciła się zatem do muzyki i zaczęła grać i to grać bezustannie, a biorąc lekcje u najpierwszego mistrza w mieście i należąc kilka razy pod przewodnictwem tegoż do kilku koncertów na cele mniej więcej dobroczynne, uroiła sobie, że sama jeżeli nie jest już, to z pewnością będzie jakąś znakomitością muzyczną. Miła ta panienka, prawdziwy szczep rodziny Adminosów, nazywała się Ludwiką. Oprócz do swego fortepianu i do pieska wiernusia do niczego więcej nie czuła miłości; zamykała się z niemi całemi dniami klepiąc niemiłosiernie dwupalcowe ćwiczenia i kalecząc uszy swoich sąsiadów. Tę

więc mistrzynię pani Marcinowa wybrała za nauczycielkę swoich młodziutkich dorastających córeczek, które mając miły przykład z mamy i papy, ćwiczyły się w utraceniu zmysłu niepotrzebnego, zbytecznej czułości, na męczeniu w wolnych godzinach kotka, pieska i muchy, zaś moralnem wykształceniem zajął się sam papa dobrodziej, chroniąc swoje miłe gołębice od zarazy zepsucia światowego przez odczytywanie im wyjątków z nauki Towiańskiego, które dla lepszej pamięci odpisywać musiały, a również dając im czytywać poważne dzieła, jak: żywot Świętego Ignacego, lub: o cichych cnotach Świętego Augustyna.

Tak cicho i spokojnie na skrzydłach czasu zleciało szesnaście lat pożycia tej miłej, tak doskonale na beczce miodu złączonej pary. Nigdy żadna chmurka nie zaćmiła małżeńskiego ich pożycia. Jednomyślnie i zgodnie, jeśli pan Marcin skręcony pieniądz w sklepie siostruni chował do kieszeni lewej, dziwnem uczuciem sympatycznem, pani Marcinowa stuczkę materji lub coś podobnego wynosiła prawą stroną; jeżeli wypadkowym sposobem jaki biedak żyd lub chrześcianin potrzebując pieniędzy wszedł do ich sklepu, chcąc za połowę wartości swój dobry towar sprzedać, to pan Marcin kupując go, ganił i ganił bez końca, a pani Marcinowa nawet krzyczała, że ona nie pojmuje, na co ten towar mógł by się przydać, co by z nim można zrobić i tak prawdziwie umieli oboje otumanić przygniecionego biedaka, że ten biorąc zaledwo czwartą część, wychodził kontent, że sprzedał. Wtenczas dopiero zacna para zaczynała się cieszyć swoim dowcipem. Mąż czuł nieporównane szczęście w swej duszy z posiadania tak nieocenionego *skarbu w osobie swej połowicy.* W chwili rozpoczętej przez nas powieści, pan Marcin rozsiadł się już był na dobre w majątku siostry wdowy, która jakkolwiek zręczna i rozumna w prowadzeniu interesów, z jeniuszem braciszka nie mogła konkurować, była nulą. Interes na pozór szedł świetnie; pan Marcin, zdawało się, pracował szczerze dla siostry, a tajemnie kopał pod nią dołki.

Pani Kinga, z sześciorga pozostałych przy życiu dzieci, dwoje już miała postawionych, córkę i syna najstarszego, który śmiał wbrew woli swej rodziny i mamy, poślubić młodą ale nie bogatą pannę. Była ona na dobitek swego własnego nieszczęścia miłą, uprzejmą i piękną: błąd, którego żadna matka, mająca na wydaniu brzydką córkę, nie przebaczy drugiej pannie.

Biada ci, młoda, naiwna, niedoświadczona dziewczyno, któraś z chatki zamożnej, acz niebogatej, szlacheckiej rodziny, weszła w świat i progi domu Adminosów, tej najwięcej rozgałęzionej po kraju naszym rodziny, która jak grzyb niezasiana wyrasta, pęcznieje i rozrasta się coraz bardziej.

Ty z cichej wioski rodzinnej wynosisz miłość do ludzi, wiarę w ten świat Boży, taki piękny, taki uroczy w twojem przekonaniu; dusza two-

ja nie doznała jeszcze żadnych silniejszych wrażeń, jest jeszcze wraz z ciałem czysta od pychy, nienawiści i samolubstwa; z dawnej twojej inkarnacji nic niepamiętając, weszłaś w to życie w szacie anioła; masz przed sobą biedna duszo nawrócona, ciernistą i łzawą drogę życia; wiele cię czeka prób i doświadczeń; wrażliwa i czuła dusza twoja nie będzie zadowolona szczęściem własnem, do twego szczęścia trzeba ci uśmiechu drugich i szczęścia drugich; rodzice twoi, danem ci wychowaniem zaszczepili tem silniej w sercu twojem to uczucie; nie dali ci pierwej poznać złą i dobrą stronę świata; kochali cię i sądzili, że ciebie kochać będzie każden już za to tylko, że ty jesteś tak dobrą, łagodną i pracowitą; matka, sama dziecinna w tem względzie, wydając cię z domu, nie powiedziała ci o tem, że są źli ludzie, bardzo źli; że są zdolni rzucić potwarz na wszystko, co tylko im się niepodoba. O! tego wszystkiego ty niewiedziałaś gdy z bijącem od uczucia sercem i w białej szacie podałaś rękę twemu przyszłemu, bo dla ciebie w jego oczach było całe niebo szczęścia. Od niego też jedynie zależało przeprowadzić cię ostrożnie przez ciernie i głogi tego życia boleści, łez. Ale czyż on dostatecznie obznajmiony z obowiązkami męża, które wraz z ślubnym pierścionkiem składa na całe życie swoje? Czy mu o nich powiedziała jego matka? Pytanie, na które znajdziemy w dalszym toku powieści odpowiedź. Dzisiejszy młodzian idący do ołtarza, rzadko pomyśli o obowiązku jaki przyjmuje na siebie, a nie wie, jaką ma wielką odpowiedzialność, gdy bierze zwłaszcza młode i bez doświadczenia dziecko za żonę, jaką wziął najstarszy syn Kingi, który powinienby był o tem wiedzieć, że nie tylko mężem swojej żony, ale jej ojcem i opiekunem być powinien; że dla jakiejś swawoli nie powinien zaniedbywać młodej kobiety, nie dawać jej powodu do myśli: Dla czego ten mąż niewraca? Dla czego on sam tylko poszedł się bawić? Bo takie pytanie, gdy sobie zadaje młoda kobieta, osamotniona od rodziny wśród świata, jest bardzo niebezpieczne, które bardzo łatwo w tej samejże osobie, zrodzić może odpowiedź: bo mnie nie kocha. Biada każdemu młodemu mężowi, gdy się ta myśl zagnieździ w sercu jego żony; a cóż dopiero, gdy ta biedna żona w pożyciu z mężem znajdzie tylko troski, nienawiść w rodzinie mężowskiej; w mężu wyczyta zobojętnienie, a od czasu do czasu namiętność, a raczej swawolę jakieś miłostki z Anną, z Pauliną; gdy na nie biedna utyka jak na ostre kamienie wśród drogi życia, a za każdem takiem bolesnem doświadczeniem, serce jej obleje się krwią żalu, boleści będąc w uczuciu najświętszem znieważoną. Kobiety niemal wszystkie mężom tego przebaczyć nie umieją i nie mogą, chociaż prawie wszystkie są również nieszczęśliwe. (D. c. n).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Karol Gromadziński.**